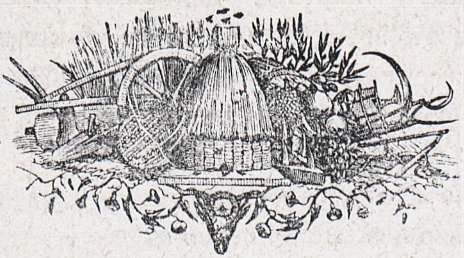
Tom XV. Nr. 4.
1. sierpnia 1866.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK
PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Oszczędność a skąpstwo.

Jedną z najpiękniejszych zalet jest oszczędność — jedną z najbrzydszych wad ludzkich jest skąpstwo.

Oszczędność a skąpstwo! Jakaż to między temi oboma przymiotami leży różnica, choć nieraz ludzie niesłusznie równają je z sobą i skąpego nazywają nieraz oszczędnym, a oszczędnego skąpym.

Oszczędność jest cnotą, skąpstwo jest wadą. Oszczędny zbiera grosz do grosza na to, aby go później mieć na inne potrzeby dla siebie i dla bliźnich — skąpy nie zbiera ani dla siebie ani dla innych, tylko dla ślepej mamony. Oszczędny zaspokaja wszystkie potrzeby w miarę i unika tylko marnotrawstwa, odkładając grosz pozostały na gorsze czasy, — skąpy odmawia sobie wszystkiego, cierpi głód, znosi chłód, byle więcej tylko grosza nagromadził. Z dobytku oszczędnego korzystają ubodzy i krewni, — skąpy nikomu nic nie użyczy, bo nawet sobie żałuje.

Oszczędny zbiera pieniądze na cele pożyteczne, skąpy gromadzi pieniądze tylko dla pieniędzy.

Z oszczędnością łączą się inne cnoty jak: gospodarność, pracowitość, trzeźwość, przezorność — do skąpstwa przywiązane są inne grzechy ciężkie jak: chciwość, brak miłosierdzia, niesumienność, bo skąpy nie zna Boga, dla niego Bogiem pieniądz!

Strzeżcie się skąpstwa, bracia — a bądźcie oszczędni!

Skąpy zawsze jest ubogim, bo zebranego grosza nie tknie za nic w świecie, oszczędny zawsze bogaty, bo miernie wydaje i o przyszłości oględnie myśli.

Z tysiąców skąpca nie będzie nikomu za grosz pożytku — oszczędnego za tysiąc czasem stanie.

W dzisiejszych osobliwie czasach powinniście być oszczędnymi. Biedny nasz kraj i ciężkie czasy, w których żyjemy. Rolnik dziś tylko wtedy utrzymać się może, jeźli rachuje się ściśle z każdym groszem, jeźli nic marnie nie strwoni — jeźli jest oszczędnym. Bez oszczędności czeka każdego niedostatek, dług żydowski, nędza i kij żebraczy w ostatku.

A oszczędność wasza powinna się wszystkiego tyczyć, na każdym kroku wierni jej być macie a ona bogato wam się opłaci.

Nauczcie się być oszczędnymi a nauczycie się także zarazem wielu innych cnót i zalet.

Oszczędzajcie zdrowia — a choroby was ominą.

Oszczędzajcie czasu, a będziecie pracowitymi.

Oszczędzajcie mienia, a nędza w wasze chaty nie zaglądnie.

Nędzarzem jest marnotrawca, nędzarzem jest skąpiec, ale dobry byt jest przy oszczędnym.

„Ziarnko do ziarnka będzie miarka — grosz do grosza dopełnisz trzosa“ — mówią przysłowia nasze, a w nich znajduje się najlepsza nauka jak w naszych ubogich czasach rolnicy czynić mają.

Praca i oszczędność — to są źródła bogactwa, które nigdy się nie wyczerpią i nigdy nie wyschną, bo ciągle przybywają.

Historya o Antonim Morawskim, rzeźniku i konfederacie polskim.

Ułożył Jan Kanty Turski.

(Ciąg dalszy.)

VIII. Pan Morawski w więzieniu.

Raz w niedzielę po kościele,
Gdy gorąco się pomodlił,
Za ojczyznę co upada,
I za króla co się spodlił; —
Idąc wioską, spotkał dziada,
Siwa broda i twarz blada,
Głos bolesny i wzrok rzewny,
Taki miały wyraz pewny,
Że kto z oka ludzi bada,
Tenby poznał w nim ubóstwo,
I moc serca i cnót mnóstwo.
Tak bo często duszy zdrada,
W zręczną postać się układa,
Więc Morawski tknięty nędzą,
Cisnął szczodrą mu jałmużnę —
I o rzeczy pytał różne:
Zkąd go losy tutaj pędzą,
Co tam w świecie bożym słychać?
Dokąd idzie i tak dalej....
A dziad zaczął ciężko wzdychać,
I kląć z cicha na Moskali.

— Ej mój bracie, to bestyje,
Kraj plądrują nam do szczętu,
A tu naród ledwo żyje,
Pełno płaczu i lamentu.
Ej mój bracie z swojej łaski
Dajcie posłuch żebrakowi,
Jeśli wiecie gdzie Morawski,
To też niechaj mu kto powie,
Że Moskale, choć nie wiedzą,
Gdzie się człek ten dobry kryje,
Strasznie go w tych stronach śledzą
Odszczepieńcy — te bestyje.

Więc niech będzie on ostrożny,
Bo tu Moskal jest wielmożny —
A jakby go pochwycili,
Tożby pewno powiesili.

— Powiesili by mówicie?
Krocset djabłów to nie żarty...
Ten Morawski człek otwarty...
Ot przed sobą go widzicie —
On zaczeka na Moskali,
Aby przyszli tu po niego...
I złapali i związali...
Bo on pragnie dawno tego
Pal ich djabli, gdy się kwapią,
Niech no przyjdą, niech no złapią.
Jużem dawno z bestyjami,
Nie rozmawiał się ochotnie,
Więc im dajcie znać wy sami,
Będę wdzięczen wam stokrotnie.
Powiedzcie im, że się wściekam
Z żalu za ich drogą skórą,
I że w karczmie tej zaczekam,
Na ich miłą kurtę burą —
Idźcie dziadu, idźcie żwawo,
Hej! zraziki znowu będą.
Jużem dawno z mą komendą
Nie zabawiał się tą sprawą.

Dziad się spojrzał nań ciekawie,
Lecz śmiech przeszedł mu szyderski,
Jak gdyby coś krył w tej sprawie...

— Ej!... z was widzę człek rycerski...
Lecz wam radzę się szanować,
Lepiej tak nie ryzykować!

*

— Co tam gadasz stary dziadu
Chodź do karczmy — palnij wódki.

— Dobrze panie, pić na smutki,
Lecz zacznijcie dla przykładu.

Więc Morawski palnął sobie,
I poczestne dał dziadowi...
A tam w karczmie ci i owi,
Jak zazwyczaj w wolnej dobie. —
Biją, krzyczą... hałas wrzawa,
Dziad nieznacznie młynka kręci,
A Morawski sam zostawa,
Mając tylko na pamięci,
Że z Moskalem będzie sprawa.

Wtem ktoś z boku doń zagada..
— Co tam bracie, w kraju biada,
Niema rady na te smutki,
Ot wypijmy lepiej wódki!

— Zdrowie wasze — i już łyka
Do rotmistrza, do rzeźnika,
Co w sukmanie między nimi,
Był jak gdyby między swymi.
Rotmistrz przyjął, wypił, wznowił,
A wtem znów go ktoś ułowił,
Poczęstował i upajał
I z umysłu tem rozbrajał.

Wtem związany padł Morawski.
Bo karczemna ta gromada:
To moskiewska była zdrada,
Więc go spili, powiązali
I oddali w ręce dziada.
Oj toż będzie radość z niego
Dla Drewicza, dla samego,
Co już dawno się tam wścieka,
I na tego ptaszka czeka.
Hojną weźmie ten nagrodę,
Kto zdradziecko zdał gospodę.

A pan Drewicz ręce ściśnie,
I krwią zemsty w oczach błyśnie.
A Morawski spiący, zpity,
Ani marzył o radości,
Jaką sprawi z swej wizyty,
U moskiewskiej wielmożności.
Więc spał sobie zdrów i chrapał,
A dziad zdrajca, aże sapał
Że takiego ptaszka złapał.

Więc w Poznaniu rozpoczęto
Dziką pastwę nad biedakiem,
Więc do ławy go przypięto,
I do kości ciało rznięto,
Z rozbestwieniem, dzikiem, takiem
Że ci chyba się spomniały
Prześladowań czasy dawne,
Tyranów dzikością sławne,
Co Chrystusa krzyżowały!
Znosił rzeźnik męczarń bole,
I nadzieją trwał do końca —
Wierny ojczyzny obrońca —
Przewidując lepszą dolę:
Bo choć wściekła wrogów psiarnia,
I umęczy i skatuje,
Toć się przecie Bóg zlituje,
Co miłością świat ogarnia.

Knutowali Morawskiego
Pijąc z rozkoszą krew jego.
I te męki długo trwały,
I Morawski mdlał z boleści,
Aż męczeńskiej jego chwały,
Szły po niebie smutne wieści.
Lud się cały tem oburzył,
I oburzył naród w mieście,
Zadrzały serca niewieście,
Trud męczeństwa wszystkich znużył,
Więc się koło niewiast zbiera,
I narada cicha płynie,
Nad męczeństwem bohatera,
Co od knutów Moskwy ginie.

„Hej na pomoc boży ludu!
Choćby przyszło się uniżyć,
I godności swej ubliżyć
Ulżyjmy więźniowi trudu.
Z prośbą spieszmy! brat nasz zmiera,
Nie grzech nam się upokorzyć,
Winniśmy z naszych serc złożyć
Ofiarę dla bohatera!
Dalej za mną bracia moi!
Bóg niech łaski swej użycza,
Jego dobroć niech rozbroi
Serce dzikiego Drewicza."

Tak najzwinniejsza z miasta
Mówiła Polka — niewiasta
I za nią tłumy pobiegły,
I dom Drewicza obległy —
I póty prośby wznosiły,
I póty nie odstąpiły,
Aż się Drewicz udobruchał,
I prośb łaskawie wysłuchał;
Czy łaskawie, czy z obawy,
Aby miasta nie oburzyć...
O tem tutaj nie chcę wróżyć,
Dość że Drewicz był łaskawy.
Głos miłości do sumienia
Zbrodniarzowi znać zagadał,
I sam poszedł do więzienia,
I łagodniej więźnia badał,
Więc Morawski spoczął trocha,
Po męczeństwie, po torturze,
Rad, że krwawą przeszedł burzę,
I dowiódł, że Polskę kocha.
We więzieniu siadł wygodnem,
Bo pan Drewicz był łagodnym.
Siadł i myślał, jakby znowu
Z Moskalami zacząć psoty.
Chciwy nowego połowu;
Bardziej cierpiący z tęsknoty
Za pochwyceniem Moskala,
Niżeli boleścią blizny,
Co w nim do Matki Ojczyzny,
Miłość wciąż większą rozpala.
Więc rozmyślał ciągle o tem,
Jak by się tym dać we znaki,
Co mu los zrządzili taki,
I takim barczą kłopotem.

„Co tam panie boleść ciała,
Kiedy dusza ocalała. —
Dalej żwawo szukaj rady,
I z dowcipem idź na zwiady."
Tak podszepnął z cicha duch,
I Morawski znowu zuch,
Nuż się kręcić, szukać, pytać,
Z głupich twarzy wroga czytać —
Czyby można jakim cudem,
Skruszyć kraty ciemnej kaźni,
I połączyć się z swym ludem,
By zagoić to co drażni.
Więc do rady i na zwiady,
Choćby nawet i do zdrady.
I nie długie szły przebiegi,
Zakupione złotem szpiegi
Przez przyjaznych braci z miasta,
Przez korytarz wiodą ciemny,
Kędy wychód był tajemny,
I więzień zmyka — i basta!
Więc gdy czuł się na wolności,
Wnet mu rany się zgoiły,
Sprostowały wszystkie kości,
I stracone wzrosły siły.
Że znów jako wódz naczelny,
Jako rotmistrz bitny, dzielny,
Zbiera czeladź boju chętną,
Szybko, zręcznie, zwinnie, skrzętno,
I przez rozmaite sposoby,
Stawia rotę tejże doby,
I podjezdną sztuką wali
Ukochanych swych Moskali.
Hej! jakże też odżył w chwili,
Gdy mu przyszło ciąć toporem
W tych, co za nim pogonili!

Jak się zwinął, jak w łeb świsnął,
To jak gruszką w ziemię cisnął,
I po drugim ciachu, ciachu,
I po trzecim rąbnął gładko,
Że tam panie z tego strachu,
Jezus Chryste! Marjo matko!
Więc się znowu wypogodził,
Bo toporem rzecz złagodził.
Z tych co za nim pogonili,
Tak się wszyscy ucieszyli,
Że rzeźnik regimentarz
Myślał; że w około cmentarz;
Tak leżeli tam spokojnie,
Po rzeźnickiej strasznej wojnie.
A w Poznaniu, a w więzieniu,
Istna panie wieża Babel,
Wycie wojska, szczęki szabel,
W Drewiczowskiem ryk sumieniu:
Krzyki, piski, lament, wrzawa,
Że się tak pokpiła sprawa.
Drewicz myślał, że choć carem
Jakim małym za to będzie,
Jak przyjedzie z swym towarem,
A tu panie siadł na grzędzie.
„Sukin synie! klął zaciekle,
Ja cię znajdę w samem piekle.“
A Morawski sobie czesze,
I formuje nową rzeszę.
To mi rzeźnik, to mi brat!
To mi rotmistrz, to mi chwat!

(Dokończenie nastąpi.)

Od łyczka do rzemyczka,

czyli

Daj djabłu palec, on za całą rękę chwyci.

Złe, moi drodzy, to jak ziarnko małe. Kiedy małe ziarneczko zakopiesz w ziemię, wyrośnie z niego krzak cały — gdy w sercu zaszczepisz złe choćby małe, w zbrodnię i grzechy urośnie.

Złe, moi drodzy, to jak gałeczka śniegu, którą się dzieciaki bawią. Oto rzucają one gałeczkę z pagórka, a ona tocząc się na dół po śniegu rośnie i rośnie, a gdy się zatrzyma to już z małej gałeczki stała się bryła ogromna.

— Jakto? — zapytacie może — to kiedy człowiek w czem małem przewini, to już poprawić się nie może i nie ujdzie coraz większych grzechów?...

Owszem, może się poprawić, może uniknąć większego złego, ale właśnie o to tu chodzi, aby się istotnie zaraz poprawił. Ale jak się zaraz nie poprawi, to później już nieraz przepadło. Złe popędy są w duszy człowieka tem, co ukąszenie jadowitego

gada w ciele. Gdy jad z rany wypalisz i wymyjesz, będziesz zdrów, gdy zaniedbasz, spuchniesz cały i zginiesz. Sumienie to jak stopa człowiecza. Kiedyś się nie zaprawił jeszcze chodzić boso, to cię lada cierń, lada kamyczek zakole, ale gdy już skóra stwardnieje, to ani czujesz, choćbyś po ostach i krzemykach biegał. Tak też i sumienie: zrazu czułe i bojaźliwe czyni ci wyrzuty, ale kiedy ty tych wyrzutów nie słuchasz, ale przeciwnie zagłuszasz je — to sumienie staje się twarde i bezbożne i nic sobie z niecnoty nie robi....

Napatrzył ja się dzięki Bogu dość na ludzi i widziałem, jak się te słowa na nich sprawdzały. Oto aby długo nie szukać w pamięci, opowiem wam zaraz historję pewnego kmiecia Marcina Szota. Ten Marcin Szot był sobie gospodarzem w jednej wsi w cyrkule jasielskim i wszyscy go tam pamiętają, do dziś dnia. Miał ten Szot dobry dobytek i to, co więcej jeszcze znaczy niż wszelki dobytek, uczciwą sławę. Wszyscy go znali za człowieka rzetelnego, zacnego i trzeźwego — nikt nań w gromadzie całej złego słówka nie śmiał powiedzieć.

Najlepiej się też pokazało, jakie miał zachowanie Szot we wsi, kiedy gromada miała nowego wójta obierać. Właśnie to wtedy poczęło się i nieszczęście Marcina Szota. Jak wiecie, ludzie jak ludzie nie zawsze się we wszystkiem zgadzają — jedni mają takie zdanie, drudzy insze, ot wyraźnie jak to mówią, ile głów tyle rozumów.

Otoż tak było i w onej gromadzie, w której żył Marcin Szot. Jedni chcieli jego za wójta, drudzy znowu ciągnęli za Jakóbem Płotką. I Marcin Szot był dobry i Jakób Płotka nie gorszy, trudno się więc było pogodzić. Gromada podzieliła się na dwie połowy, jedni koniecznie chcą Marcina, drudzy ani rusz bez Jakóba.

Cóż było w tym przypadku robić?... Dwóch wójtów byłoby przecie za wiele na jedną gromadę, trzeba tedy było zostawić to rozumowi ludzkiemu i woli Bożej. Jakoż uczynił tak Jakób Płotka, mówiąc sobie:

— Wybiorą, to wybiorą, nie wybiorą, to nie, alboż to ja jeden w gromadzie, com wart być wójtem?

Nie czynił tedy Płotka żadnych zabiegów, nie uganiał się za honorem ale zdał to wszystko na ludzi i na Boga, bo nie miał ani pychy ani próżności w sercu.

Inaczej jednak stało się z Marcinem Szotem. Jak już powiedziałem był Marcin człekiem poczciwym, ale miał tę wadę, że był bardzo próżnym, to jest lubił wynosić się nad innych i wiele dbał o honory ludzkie. Skoro tedy Marcin widział, że go połowa gromady chce na wójta, tak mu to zawróciło głowę, że o niczem nie myślał jeno o tem i począł okrutnie zwijać się za tem, aby go koniecznie wybrano wójtem. Próżność to wielka wada. Co innego jest chęć dobrej sławy, bo dobrej sławy każdy poczciwy człowiek życzyć sobie powinien — ale pycha i próżność to są dwie drogi, po których zachodzi się nieraz do bardzo złych rzeczy. Urzęda czy to w gromadzie, czy gdzie indziej nie na to są, aby się z nich pysznić, ale na to, aby się około dobra ludzkiego zasługiwać — a sam urząd nie przynosi sławy i honoru, jeno przynosi go sposób, w jaki ty ten urząd sprawujesz.

Nieszczęściem nie myślał tak Marcin Szot. Latał, gadał, traktował, kogo tylko spotkał, aby jeno zostać wójtem. A ponieważ nie mógł jakoś tak zrobić, aby wszyscy za nim, a nie za Jakóbem ciągnęli, więc powziął niechęć do Jakóba i zaczął go nawet nienawidzić, a nienawiść to djabelskie ziarno.

Przyszedł nareszcie dzień wyborów. W szkolnej izbie zeszła się gromada, aby wybrać wójta w przytomności urzędnika. Marcin Szot, który przedtem traktował w karczmie swoich przyjaciół, przyszedł już trochę podpity. Zaczęli ludzie głosować i oto pokazało się, że za Jakóbem Płotką jest większość. Jakób Płotka został obrany wójtem.

Kiedy to ogłosił urzędnik — Marcin Szot aż się zachwiał na nogach, tak mu się markotno zrobiło. Że był bardzo próżny i honorny z natury, więc rozgniewał się okrutnie i myślał sobie w duchu:

— Otom się dopiero wstydu najadł! Teraz się będą ze mnie wszyscy śmiali!

Nie mądra to była myśl, bo z czegoż tu miał być śmiech albo wstyd jaki!

Ale cóż! taka to już bywa każda pyszna natura. Marcina Szota porwała ogromna złość, a kiedy widział jeszcze, że nawet ci, których on raczył i częstował, nie za nim ale za Jakóbem głosowali — nie mógł już pohamować dłużej pijanego języka i zawołał przy całej gromadzie i urzędniku:

— Otoście sobie łotra i złodzieja obrali!

Wszyscy aż zaniemieli z zdziwienia, kiedy te słowa usłyszeli a wszystkim mało włosy na głowie nie stanęły, gdy Marcin taką potwarz na poczciwego Jakóba rzucił. Sam też Marcin, gdyby był zastanowił się nad tem, co powiedział, byłby się był własnych słów przestraszył.

Jakób Płotka zhańbiony tak niesłusznie przy całej gromadzie aż posiniał cały od zgryzoty i rzekł:

— Marcinie, czy masz ty Boga w sercu! Coś ty powiedział? Mnie zna cała gromada i to od nie jednego roku! Odwołaj zaraz te słowa, boś je po pijanemu powiedział!

Ale Marcin ani myślał naprawić krzywdę wyrządzoną Jakóbowi, chwycił za kapelusz i odrzekł:

— Ja nic nie odwołuję, bo ja czy trzeźwo czy po pijanemu mówię prawdę. Com powiedział tom powiedział!

I zatrzasnąwszy drzwi z wielkim stukiem wyleciał z izby szkolnej.

Wtedy Jakób Płotka odezwał się tak do gromady:

— Słyszeliście, jak mnie tu niepoczciwem słowem pokrzywdził Marcin! Nazwał mnie złodziejem i łotrem. Żyję już lat 50, a nikt mi tego jeszcze nie powiedział! Świadczę się Bogiem i wami, jako to ciężka potwarz. Proszę tedy wszystkich przyjaciół Marcina, aby mu wytłómaczyli, żeby mnie przeprosił i swoje obelżywe słowa odwołał, bo inaczej krzywdy mej dopominać się muszę.

Wszyscy przyznali słuszność Jakóbowi, a kilku gospodarzy poszło zaraz do Marcina, aby go nakłonić, żeby przeprosił Jakóba.

— Nie, nie przeproszę — odpowiedział na to Marcin.

— Ale przecież wyrządziliście mu przy ludziach krzywdę — mówią mu ludzie.

— To niech tam będzie.

— Toć przecież on ani złodziej ani łotr, jeno poczciwy człek, jak to wszyscy wiemy.

— To niech sobie będzie, ja go przepraszać nie myślę.

Ludzie zaczęli mu perswadować dalej na rozum, ale Marcin zawsze swoje, zawsze mówi, że toby był wstyd dla niego, gdyby on Jakóba przepraszał i swoje słowa odwoływał.

— Ale Marcinie, zastanówcie się — rzecze mu jeden z gospodarzy — niema w tem żadnego wstydu jeno owszem zasługa i honor, jeżli się komuś naprawi krzywda. Jakób wam chętnie przebaczy, byleście tylko sami zaczęli.

Ale Marcin tak się uparł jak kozieł — i nie można go było przekonać. Jakób zmartwił się tem bardzo, ale że takiej hańby nie mógł przenieść, bo by była przylgnęła do niego na zawsze, więc powiedział, że Marcina zaskarży, jeżeli swej potwarzy nie odwoła.

Znowu ludzie perswadowali Marcinowi, znowu mu radzili, aby załagodził cały spór dobrem słowem — ale daremnie. Mój Boże, jedno poczciwe słówko mogło wszystko naprawić, jeno pycha Marcina temu przeszkadzała! Marcin sam to w duchu uznawał, że popełnił niesprawiedliwość i pokrzywdził Jakóba, na którym żadna plama nigdy nie postała — ale pycha przemogła nad sumieniem.

Nie miał tedy innej rady Jakób, jak tylko zaskarżyć Marcina. Wziął sobie świadków, że go Marcin nazwał złodziejem i łotrem, i wniósł skargę do urzędu. Zawołali Marcina do urzędu i stawili go razem z Jakóbem.

— Czy nazwałeś Jakóba Płotkę łotrem i złodziejem? — zapytał Marcina urzędnik.

Marcin zachmurzył jeno czoło i w swym uporze odpowiedział:

— Nazwałem.

— To jest obraza ciężka — rzecze na to urzędnik — a Jakób na nią nie zasłużył, bo znamy go wszyscy jako zacnego człowieka. Jeżeli tedy nie chcesz być karany, to przeproś tu Jakóba przed urzędem.

— Tak, tak, wielmożny sędzio — rzecze Jakób — ja nie chcę, aby Marcin był karany, jeno chętnie mu przebaczę,

byleby słowa swę odwołał, aby na mojem imieniu plamy nie było.

A uparty Marcin na to:

— Ja go przepraszać nie będę.

— To pójdziesz do aresztu — rzecze urzędnik.

— A za co?

— Za potwarz i zniesławienie.

— Kiedy to nie potwarz — mówi Marcin.

— Jakto nie potwarz? Może to prawda? — pyta urzędnik.

— A jużci że prawda — mruknął zacięty Marcin.

— Więc ty utrzymujesz — mówił dalej urzędnik — że Jakób na prawdę jest złodziejem?

Marcin kiwnął ponuro głową.

— A wiesz ty że na to trzeba dowodów?

— Wiem.

— A masz te dowody?

— Mam — odmruknął w swojem zaślepieniu Marcin, niewiedząc sam co mówi.

— A więc dawaj te dowody! — zawołał urzędnik.

Marcin teraz sam siebie się przestraszył. Zamiast dobrowolnie przeprosić Jakóba, jak należało, jeszcze bardziej go obraził, bo rzekł, że ma dowody. A sam przecież wiedział dobrze, że żadnych dowodów nie ma, bo jakże mógł mieć dowody na kłamstwo?...

Ale Marcin zaciął się i rzekł:

— Ja prześwietnemu sądowi złożę dowody za trzy dni.

Odroczono tedy sprawę na trzy dni, a Marcin wracając z miasta do domu myślał nad tem, co uczynił.

Z strachem poznał, że się posunął w swym uporze za daleko. Wyznał sobie teraz sam, czemu od razu nie przeprosił Jakóba. Byłby już teraz natychmiast prosił o przebaczenie Jakóba, ale teraz już i z urzędem była sprawa.

— Przeproszę Jakóba — myślał sobie przez drogę Marcin — a on z pewnością mi przebaczy, bo już to niema co mówić, poczciwe ma serce — ale co będzie z urzędem? Mam za trzy dni stawać z dowodami, jak nie stanę, to mnie i tak czeka kara albo wstyd? O nie, kiedym już zaczął, to muszę skoń-

czyć, niech się dzieje, co chce.... A tożby mnie urzędnik zhańbił i do aresztu wsadził....

Tak się Marcin przez drogę bił z myślami — i myśli złe zwyciężyły nad dobremi. Zamiast naprawić teraz jeszcze złe — Marcin pofolgował dalej swojej pysze. Sprawa jego pogorszyła się, bo już teraz i z Jakóbem i z urzędem miał do czynienia.

— Trzeba dowody dać! — mruczał sam do siebie Marcin. Ale jakie dowody? Zkądże ja dowiodę Jakóbowi, że on złodziej, kiedy to nie prawda?

I począł Marcin przemyśliwać głęboko a serce jego okryły czarne zamiary. Dał djabłu palec — teraz go on za całą dłoń chwytał.

Gdy Marcin przyszedł do chaty, siadł sobie w kącie i już nie brał się do żadnej roboty ani nie przemówił do żony, jeno dumał a dumał. Upor przemógł w nim serce — sumienie uległo pysze; już by był teraz Bóg wie co uczynił, byle postawić na swojem.

Siedział tak Marcin w chacie i już zmrok zapadał, kiedy wrócił z pola jego parobek, Kuba. Ten Kuba był to chłopak sierota, robotnik pilny i sprytny i z sercem dobrem, jeno że bardzo lekkomyślny, jak to się młodym zwykle zdarza. Kiedy Kuba przywitał się w chacie, Marcin kazał wyjść z niej żonie i dzieciom, zamknął się z Kubą sam na sam i tak mu mówi:

— Kuba, ty wiesz, jakom ci zawsze był po ojcowsku życzliwy.

Kuba pokłonił się i rzecze:

— A jużci że wiem i będę o tem pamiętał, póki życia, gospodarzu.

— Kiedy tak — prawi na to Marcin — to mi musisz zrobić to, o co cię proszę.

— Wszystko dla was zrobię, co tylko w mojej mocy! — zawołał Kuba.

— A więc słuchaj i trzymaj język za zębami. Wiesz o mojej sprawie z Jakóbem. Muszę mu przed sądem udowodnić, że jest złodziejem.

— O Matko miłosierna! — zawołał Kuba, chwytając się za głowę — a jakże wy to gospodarzu zrobicie, kiedy to nie prawda, bo Jakób najpoczciwszy człek na świecie.

— Ty mi w tem pomódz musisz — rzekł na to pochmurnym głosem Marcin. Jeżeli mi dobrze życzysz, to pójdziesz ze mną do urzędu i zeznasz, jakoś wraz ze mną widział na mojem polu Jakóba, jak brał snopki.

— Matko Boża! a kiedy to nie prawda — zawołał Kuba.

Marcin aż sam przed sobą wstydem spłonął ale mówił dalej:

— No to i cóż z tego, to choć tam raz w życiu skłamiesz, to ci djabli głowy nie urwą.

— A jak każą przysięgać? — zapytał z zgrozą Kuba, patrząc na gospodarza przelękniony.

— To przysięgniesz!

— Ale to będzie krzywoprzysięztwo! Gospodarzu mój drogi, co wam Bóg dał, opamiętajcie się, na Boga! nie gubcie duszy! Co wy chcecie zrobić! Przemienienie pańskie!

Marcin pobladł cały jak chusta, krew mu uderzyła do serca, zatrząsł się cały na tę swoją myśl zbrodniczą, ale nie odstąpił od niej.

Wstał z ławki, poszedł do skrzyni i począł tu coś przeglądać. A trzeba wam wiedzieć, że przed rokiem umarła była rodzona siostra Marcina, wdowa, i zostawiła na jego opiekę małą córeczkę. Otoż wdowa ta zostawiła po sobie także kilka prześlicznych sznurów korali, przy których były rozmaite śrebrne medale z wizerunkiem Matki Boskiej. Wdowa umierając dała te korale Marcinowi jako bratu, aby je przechował na pamiątkę i wiano dla jej córki, która dopiero lat cztery miała. Z tej to racji były te korale jakby święte dla każdego, bo były pamiątką po matce i wianem sierotki. Ale Marcin tak się zajadł, że już nie pamiętał o niczem, ani o sumieniu ani o Bogu. Wyciągnął korale z skrzyni, schował je do kieszeni i przystąpił znowu do Kuby.

— Słuchaj Kuba — rzekł — więc mi tego nie uczynisz?

— Przenigdy gospodarzu — zawołał Kuba — a ja wiem, że wy nawet tego na prawdę nie żądacie.

Marcin potarł ręką po czole, jakby chciał myśl swą skupić i odetchnąwszy ciężko tak się odezwał do Kuby:

— Słuchajże Kubusiu, prawda że ty masz kochankę?

Chłopczysko się poczerwienił po same uszy i jeno głowę ku ziemi pochylił, bo też na prawdę przylgnął był całem sercem do Jagusi Mączanki, dziewczyny ślicznej jak malina.

— Ej co też wy tam sobie przypomnieli — rzekł na to kręcąc kapelusz w rękach.

— No ja wiem, wiem — mówi na to Marcin — bardzo dobrze sobie wybrałeś, bo Jagusia to najlepsza i najurodziwsza dziewczyna w całem siole.

Kuba jakby rósł na drożdżach, tak go te słowa głaskały po sercu.

— A prawda, żebyś ty chętnie dał Jagusi piękny jaki podarunek? — mówił dalej zdradliwie Marcin.

— A jużci gospodarzu z całego serca!

— Naprzykład gdybyś jej dał te prześliczne sznurki korali, o! — i Marcin wydobył z kieszeni sieroce korale i mignął niemi w powietrzu.

Potem mówił Marcin dalej:

— Słuchajże chłopcze! Daruję ci te śliczne korale, warte one między braćmi 50 reńskich, a ty je znowu zawiesisz na szyi swojej Jagusi, która się okrutnie z tego będzie cieszyła.

— Oj pewnie — zawołał Kuba — tożbyto ona się z tego cieszyła!

— Otoż ja ci zaraz dam dla Jagusi te pyszne korale wraz z srebrnemi medalikami, ale musisz mi to zrobić, o com cię prosił....

Kuba poczerwieniał i zamyślił się. Kochał on Jagusię z całego serca i już od dawna nad tem myślał, jakby ją jakim pięknym podarunkiem ucieszyć, ale biedaczysko nie miał grajcara przy duszy.... Korale, które mu Marcin obiecywał darować, były dla niego wielką pokusą, bo czegoż by chłopiec nie rad dla swej lubej!

I oto nieszczęściem Kuba uległ tej pokusie.... Zrazu się jeszcze wahał, jeszcze się opierał, ale wkrótce sfolgował, wziął

korale i obiecał Marcinowi zeznawać przed sądem przeciw Jakóbowi.

Tak to z małej przewiny posunął się Marcin do wielkiej zbrodni, bo do srogiego grzechu niewinnego chłopaka pokusił, przekupując go sierocą własnością!...

Trzy dni minęło. Te trzy dni i dla Marcina i dla parobka Kuby były długie jakby trzy lata. Marcin nie jadł i nie spał przez te trzy dni, nie gadał ani do żony ani do dzieci, jeno dumał po dniach i po nocach — a zbladł jak wapno i wysechł jak drzazga.

Nie lepiej też stało się i z Kubą. Zrazu gdy dał owe korale Jagusi i widział, jak się ona niemi serdecznie rozradowała, ucieszył się tem bardziej, ale gdy sobie rozmyślił, co on za ten Judaszowy podarunek ma uczynić, jaki haniebny postępek ma popełnić — włosy mu na głowie stawały, serce mu biło jak młotem, krew mu z twarzy a sen z oczu uciekał...

Przyszedł termin iść do urzędu. Marcin zaprzągł konie, wsadził Kubę jak nie żywego na wóz i pojechał do miasta. Przez drogę obaj milczeli jak kamienie. Osobliwie Kuba smutno się zamyślił.... Zdawało mu się że jedzie na śmierć.... Przypomniał sobie co Bóg nakazuje w swych przykazaniach:

Nie będziesz brał imienia Boga twego nadaremnie!! Nie będziesz dawał fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu!!

Czoło Kuby okryło się kroplistym potem.... Popełnić krzywoprzysięztwo, tę straszną, okropną zbrodnię, w której znieważasz fałszywą przysięgą wiarę i imię Stwórcy, za którą Wszechmocny gniewem swym ściga ciebie i twe pokolenie!

Kuba ledwo żywy dojechał do urzędu.

Na zapytanie urzędnika, gdzie są dowody, że Jakób Płotka jest złodziejem, odpowiedział Marcin, że go widział wraz z swym parobkiem Kubą, jak kradł snopki z pola i że obaj na to przysięgną.

Urzędnik zapisał to sobie a potem zapytał Kubę:

— Czy to prawda, co mówi twój gospodarz?

— Prawda — wybełkotał Kuba drżącym głosem, choć sam się przeraził swego brzydkiego kłamstwa.

— Może cię gospodarz podmówił do tego zeznania? — pytał dalej urzędnik.

— Nie! — mówił dalej Kuba, ale ledwie kłamstwo to mógł przez zęby wydusić.

— Więc przysięgniesz na to? — pytał dalej urzędnik.

— Przysięgnę — jęknął nieprzytomny Kuba.

Urzędnik skinął na woźnego a ten przyniósł czarny krucyfiks i zapalił dwie świece.

Gdy Kuba ujrzał czarny krzyż z rozpiętym Zbawicielem, na którego imię święte fałszywie miał przysięgać — przejął go strach okropny i groza, serce bić mu przestało, zęby zaczęły mu dzwonić....

— Więc przysięgniesz? — zapytał raz jeszcze urzędnik.

Wtedy Kuba nie mógł się dłużej powstrzymać, łzy puściły mu się z oczu, padł na kolana i zawołał ze skruchą:

— Nie, nie! nie przysięgnę, bom kłamał, bo to, co na Płotkę zeznałem jest kłamstwem i oszczerstwem!...

Kiedy to usłyszał Marcin, zatrząsł się cały. Trudno opisać co się z nim działo. Widział się teraz zgubionym i zhańbionym.... Z początku strach okropny a potem gorączka i wściekłość go napadły.... Stracił zmysły i przytomność i w obecności urzędników rzucił się jak wściekły na Kubę i począł go dusić....

Rzucili się na Marcina urzędnicy i woźni i ledwie go oderwali od parobka, a potem wynieśli go z kancelarji, bo pokazało się że był bez przytomności.

Zawieziono Marcina do szpitalu. Tam on w okropnej gorączce coś wykrzykiwał i rwał się z łóżka — i tak to przez dni kilka trwało aż nieszczęsny umarł nieprzytomnie.... Zginął marnie, zostawiając wdowę i sierotę po sobie.

Taka jest historja Marcina Szota, który nie chcąc się wczas opamiętać i folgując więcej pysze i zatwardziałości niż sumieniu, zeszedł z uczciwego człowieka na zbrodniarza i jako taki wyzionął ducha!

Niech mu Bóg na tamtym świecie będzie miłosiernym!

Wojtek ze Smolnicy.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.